

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 23 października 1909 r.

№ 43.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

30

Powieść historyczna.

Ale cóż, sześćdziesiąt strzelb nie mogło nastarczyć jegrom, którzy nas prażyli ogniem. Borysewicz nakazał odwrót. Jegry za nami. Wzięliśmy się na Korciany, spaliliśmy most na Mimii i cofamy się. Chamy nic, idą w ordynku, rannych dźwigają, i dobrze. Ubili nam luda, ale i myśmy im ubili, więc kwita, niema żałości. Za Korcianami, myśleliśmy, sfolgują pościgu. Gdzie! Wytchnąć nie zdołaliśmy— a oni już z za Mimii, dwakroć większą chmarą nacierają i od boków się skradają. Dostępu zaś na ostre niema, bo co się nasi z kosami zerwą, to ogień w pół drogi ich skrwawi. Rada w radę... cofamy się ku pruskiej granicy, co jest tuż za naszymi plecami. Za granicą pruską nam nic, bo pruska mość obojętność deklarował. Przycupniemy sobie w bezpieczeństwie, zmocnimy i wpadniemy od Połagi. Nie zdała mi się pruska gościna, ale Borysewicz, co był i tę ostateczność przewidział, odebrał zapewnienie od komendanta z Kłajpedy. Idziemy tedy za granicę i hukamy jegrom na pożegnanie. Jegry utknęli w miejscu. Nasza wygrana. Naraz, z za lasu cały sztab pruski wyjeżdża. Szwargoczą, witają nas, znów szwargoczą, z Borysewiczem paktują. Radzą nam tu nocować... Co tu mówić!

Trzech godzin nie wyszło, a już, niby z przyjaciółstwa, aby jegry granicy nie naruszyli, otoczyli nas, rozbroili, ograbili z dobytku i popędzili do Kłajpedy. Tu zakuli w łańcuszki i zawieźli do Lipawy na prezent dla kurlandzkiego gubernatora... W Lipawie mnie, Giedryma i Borysewicza uzałił się strażnik na odwachu. Wziął sygnet od Borysewicza i umknął nam pomógł. A że pościg za nami szedł, więc rozpedziło nas. Ja na Nitawę aż się wlokłem; co tamci dwaj nie wiem... I tak przepadło wszystko. W Lipawie mówili, że do Telsz zjechał Manteufel na śledztwo, że siła narodu ucierpiała i nadarmo! Ha, gdyby był Dowbor, nie czekając nas, zaczął w Telszach, nie poradziliby! A Dowbor miał niby i kniazia Giedrojcia, i Syrewicza i samego imć pana Jacewicza. Cóż więcej powiadać! Niedola jedna. Po żebraniem musiałem, lasami musiałem. Na drogach wojska bez miary, lęk coraz większy... Myślałem, że gdzie natrafię na zbrojny oddział naszych, myślałem, że gdzie kto przykładem chamstwa telszewskiego się zawstydził... ani słychem...

Półnos umilkł i, jakby zmęczony blaskami, idącymi z płonących na kominku szczap, przymrużył swe posiniałe, obrzękłe powieki.

— Więc waszeć byłeś w Lipa-

wie?— zagadnął raptownie Grużewski, przerywając chwilę głośzy.

Półnos rozwarł szeroko oczy.

— A jakże! Ośm dni na hauptwachcie, czy jak tam... a potem drugi tydzień zeszło mi, zanim z mierzei lipawskiej się wydoostałem na szczerą ziemię. Majsterek się znalazł, człek osiedziały... ten mnie ratował, inaczej nie poradziłbym. Szukali nas okrutnie. Lecz majsterek czuj duch wiedział, jak trawa rośnie.

— Nie słyszałeś waszeć o panu Staniewiczu?

Nieruchoma, stężała w bolesnym zamyśleniu twarzyczka hrabianki drgnęła zniecierpliwieniem.

— O panu Ezechielu z Pren? Marszałku rosieńskim? Wiem, wiem, dobrodzieju, powiadali. Do Lipawy zjechał. Kontrabandy czekał... i cóż?... uwięzili.

— Marszałka Staniewicza!

— Mieli swoje prawo. Nie-szczęście. Pan marszałek cały powiat czynił.

— Lecz waszeć się chyba mylisz!

— Powiadali i tacy, którzy nie takiej wyprawy marszałkowi życzyli...

Juliusz podszedł do hrabianki...

— Pani daruje, ani chwili dłużej nie mogę pozostać, ruszam natychmiast.

— A... lecz skoro masz waćpan pewność, że Staniewicza niema...

— Więc tem bardziej muszę pośpieszać!

— Słusznie— przyznała Emilia, nie zauważywszy nawet mocy, któ-

ra była w tej chwili twarz Gruzewskiego. — Strawiński i o tem wiedzieć powinien. Da mu to jeden argument więcej. Więc do widzenia w Antuzowie...

— Albo...

— Albo niech waćpan przysśle zaufanego po wiadomości.

Gruzewski poniosł rączkę hrabianki do ust, poczem jakby zawahał się, jakby jeszcze coś rzec chciał, lecz, napotkawszy rozszerzone zdziwieniem źrenice Emilii, wyprężył się dumnie, skłonił i wyszedł z komnaty.

IX.

Wyjazd do Antuzowa podkomorzyny Zybergowej i jej wychowawicy prawdziwie pod dobrą począł się wróżbą. Słoneczny a mroźny dzień rozruszał staruszkę, hrabiankę ożywił, a i koniom snadź ulżył w dźwiganiu landary, bo te, jak ruszyły z kopyta, tak z tym samym impetem pomknęły lodową powłoką Dźwiny i z tym samym zamachem zawinęły płozami przed pałacem szlosberskim. A że popas, odprawiony w siedzibie pana grafa Michała, i podróżującym damom, i służbie, i koniom co najlepiej wypadł, tedy reszta drogi do Antuzowa w większej jeszcze reżkości zesłała i, choć dłuższa, krótszą się zdała.

Dopieroż w Antuzowie. Państwo Gasparowie nacieszyć się nie mogli gościom. A co pan Gaspar, który, jak zwykle przed wiosną, bardziej kwękał a przeraźliwiej astmą sapał, z ukontentowania niemal ozdrowiał. Na dobitkę, pod wieczór, gdy gawęda pierwszego rozwichrzenia zbywać się zaczęła, spadł niespodziewanie Michałostwo szejbakpolscy aż z pod Lidy, najrodzeńsi Gasparów. Z tego zamęt nowy, nowa radość, a już dla pani podkomorzyny cała fala pytań, wspomnień, nowin i nowinek. Wprawdzie i do niesfornego zgiełku, w którym trwała rozmowa, zakradało się słowo chmurne, ważkie, przesłanka trwożliwa do jutra, do przyszłości, do wojny,—lecz ginęła wprędce, dzięki roześmianym głosikom dwóch dziewczątek państwa Michałów.

W tym rozgwarze nawet ostątek chmurnych myśli, z którymi

hrabianka Emilia opuszczała Liksnę, a którymi zęgnęła mogilkę Muraszki—znikł, uleciał.

Cezary miał stokroć słuszność, że nakłonił ją do wyjazdu z Liksny. Nadewszystko, pani podkomorzynie sporzej tu będzie między swoimi przetrwać nadchodzącą burzę. A dalej, w Antuzowie łatwiej o wiadomości, łatwiej, bo i lud sam jednolitszy, i niema Dźwiny, grożącej ruszeniem lodów, i wokół, precz, włości rodowe Platerów, familantów, czy ich przyjaciół, czy też klientów,—więc na wsze strony pomoc, oparcie, swójacy. W dodatku, krom kilku milicyantów w Jezioroszach a garstki urzędników, nigdzie załogi wojskowej, nigdzie silniejszego posterunku, zdolnego udaremnić wybuch.

Niepokoilo z początku hrabiankę, czyli ochotnicy owsiejowscy zdołają bez obudzenia czujności Dyneburga przedostać się do lasów subockich. Ale i ta udręka już na wtóry dzień po przyjeździe do Antuzowa rozwiała się. Stary Prószyński święcie dotrzymał przyrzeczenia i, skorzystawszy z ciemnej a mglistej nocy, ochotników partyami do puszczy między Okniwą a Suboczem wyprowadził.

Emilia wnet z ochotnikami ustanowiła komunikację przez Dusiaty, w których młody pan Władysław, w zastępstwie Cezarego, rządu sprawował, a dusiackich strzelców gromadził. Główną zaś pośredniczką tej komunikacji była Anetka Prószyńska. Ona samotrzeć z jednym pacholikiem docierała do puszczy, do Buchowicza leśniczego, który, jako dawny sierżant strzelców celnych litewskich Kossakowskiego, komendę nad owsiejowskimi sprawował.

Pierwsze cztery dni piorunem zeszyły hrabiance. Miała tuż Marynię Mohłównę w pobliskich Imbrodach, miała narady z Władysławem, miała posyłki do Kazimierza szlosberskiego o nagotowanie, na lewym brzegu Dźwiny dostatecznej ilości strug i łodzi, któreby, w razie ruszenia lodów, ułatwiły przeprawę na poddyneburskie wybrzeże, miała co moment sprawę pilną do załatwienia.

Mieszkańcy antuzowskiego pałacu równocześnie, jakby nie postrzegali gorączkowej czynności Emilii, jakby nie zauważyli nawet, że ku bocznym schodom, wiodącym do pokoiku, zajmowanego przez hrabiankę, suną nieznanne postacie, że tam, w jasnych ścianach panieńskiej komnatki, do późnej nocy szepczą sflumione głosy. Roztargnienie jakieś, czy zamyślenie smutne, ogarnęło bo raptem cały pałac antuzowski. Z rozgwaru niedawnego i śladu nie zostało. Pan Gaspar sapał astmą, stękał, podkomorzyna ledwie się czasem ozwała, milczeli państwo Michałowie, pani Gasparowa próbowała niekiedy zmódc ciszę, lecz bezskutecznie, bo nawet dziewczątka kryły się po kątach z zabawami i figlami.

Jeszcze gdy Emilia była obecna, ten i ów ozwał się, zagadał, skleił. Ale z chwilą, gdy hrabianka, uprzedzona przez hajduka, śpieszyła na przyjęcie posyłki lub, gdy, zajęta w swej komnatce, nie pokazywała się na pokojach, wówczas westchnienie wtórowało westchnieniu, wówczas spojrzenia zebranych krzyżowały się na odrzwiach, niby wymawiając im, że już się zawarły za Emilią, lub że się jeszcze nie odemknęły.

Trwało tak przez dni cztery, aż czynność gorączkowa hrabianki ustała nagle, a niepokój jej znów wzrastać zaczął. Od Cezarego znaku życia nie było i znikąd znaku życia. Przygotowania dobiegały kresu, zniecierpliwienie nurtowało puszcze subocką, w Jeziorosów nadeszły ostrzeżenia, że asesor tamtejszy do Brosławia wyjechał z papierami, odebranymi na stacyi pocztowej nieznanemu człekowi, który je wiozł dla pana marszałka Podbięty, do Dzisny. W Imbrodach komisya wojskowa zjechała na pobór rekruta i rekwirowanie podwód. W Dowgielach pluton huzarów gotował się do wyciągnięcia z całym tabunem co najprzedniejszych koni. Do Urpola sapieżyńskiego przyszedł rozkaz, aby w ciągu tygodnia odebrać służbie leśnej wszelką broń i do urzędu powiatowego zwieźć.

MARZYCIEL.

39

Józio zamruczał coś, jakby przez sen, odwrócił się twarzą do ściany i zachrapał. Soczek dał mu spokój i skwapliwie wrócił do kieliszka, pito już bowiem strzemiennego i żegnano się z Buczkiem; każdy go brał w ramiona, każdy ścisnął i każdy z serdecznym wylaniem życzył mu szczęścia na nowej drodze; wielu miało szczerę łzy w oczach, Buczek był głęboko wzruszony, a Frania, pod wpływem ogólnego rozczulenia, wybuchnęła płaczem i również całowała się ze wszystkimi.

Już mieli wychodzić, gdy Soczkowi strzeliła nadzwyczajna myśl.

— Panowie! — zawołał, wskazując Józia. — Wypijmy za zdrowie tej sieroty, wypijmy!

Zabrzękły kieliszki, otoczyli śpiącego, a Dzieciół zagrzmiął ostatnim toastem:

„Za zdrowie tej opuszczonej sieroty, naszego kasyera!
Niech ciągle chrapie, a nigdy nie umiera“.

Wytoczyli się ze śmiechem, po chwili zaturkotały wózki, a dom ogarnęła cisza.

Maciuś powyszczał resztki z kieliszków, pogasił światła i poszedł spać.

Świeciło się jeszcze w sypialnym, ale drzwi były otwarte na rozciecz, i smuga światła sięgała do otomany, na której leżał Józio, że słyszał każde słowo i widział najmniejsze poruszenie. Frania zakręcała sobie włosy papierkami, a Mikado rzucił krawat wraz z kołnierzykiem gdzieś w kąt, pugilares wsunął pod poduszkę i, śpiesznie zdjawszy ubranie, położył się do łóżka.

— Jutro będę już spał w pościagu — zawołał radośnie. — Ale biba się udała, co?

— Napili się i nakrzyczeli za wszystkie czasy, ale tylko Józio urznął się na fest.

— Bo ciągnął za czterech! Hrabiczowi się zdaje Bóg wie co, a główkę ma słabą, jak panna. — Ziewnął przeciągle. — Moja droga,

daj mu co pod głowę i przykryj go, bo tam od wczoraj rana nie palone. Jeszcze się przeziębii.

Józio przymknął oczy i zaczął równo i głęboko oddychać, gdy mu Frania podkładała poduszkę; przykryła go jakimś kożuchem i, pogłaskawszy pieczołtliwie po twarzy, wyszła, zamykając drzwi za sobą.

— Nie zamykaj! Będzie nam za duszno! Kładź się prędzej. Strasznie chce mi się spać.

Lampa zgasła i zegar wybił trzecią.

— Możemy sobie używać chociażby do południa — szepnął sennie Buczek.

Cisza ogarnęła cały dom. Pokój, w którym leżał Józio, z powodu przysłonionych okien był ciemny, jak grób, tylko w sypialnym mżyły się słabe odbrzaski, noc zaglądała przez szyby i deszcz zacinał zsyPKiem, usypiającem brzęczeniem, rywny bełkotały nieustannie, czasami zahuczał wiatr i szamotał się z drzewami.

Józio leżał pogrążony w rozmyślaniach i naraz rzekł bezwiednie a prawie głośno:

— O dziewiątej byłbym już na granicy...

Wystraszył się własnym głosem i zaczął nasłuchiwać z niepokojem.

Cicho było w sąsiednim pokoju — musieli już zasnąć; tylko gdzieś za piecem strzykał świerszcz.

Jakiś pociąg przeleciał, jak grom, aż się wszystko zatrzęsło.

— Pewnie jaka ekstra! — pomyślał, wysuwając się z pod kożucha który go parzył, jak ogień.

Usiadł na otomanie i cały zamienił się w słuch.

Spali jakoś niespokojnie, Frania mówiła coś przez sen, a Buczek wciąż się przewracał, aż trzeszczało łóżko, ale usłyszał zarazem gwałtowne bicie swojego serca.

Psy zaszczekały w ogrodzie i napływało dalekie jeszcze dudnienie nadbiegającego pociągu.

Podniósł się bardzo ostrożnie,

ale, mimo to, podłoga tak zaskrzypiała, że skamieniał na długą chwilę i z zapartym tchem patrzył w otwarte drzwi.

Spali — słyszał ich przerywane, gorączkowe oddechy i monotony szelest zegarowego wahadła.

Przemógł się wreszcie i poruszył się z miejsca tak nieszczęśliwie, że potracił jakieś krzesło, które się z hukiem przewróciło. Jakby mu sufit zleciał na głowę — przerażenie zapchało mu gardło oniemiałym krzykiem; nie śmiał odetchnąć, ni się poruszyć. Długie, jak wieczność, chwile przelewały mu się przez mózg zgiełkliwym warem, chwiał się, jak podcięte drzewo, i prawie tracił przytomność.

Ale nikt się nie przebudził, a nawet Buczek dosyć głośno zachrapał.

Odetchnął z niezmierną ulgą po tem strasliwym wzruszeniu i, przetarłszy oczy zalane potem, zaczął się zwolna posuwać ku drzwiom otwartym, ostrożnie macając dokoła wyciągniętymi rękoma. Musiał jednak bardzo często odpoczywać, gdyż chwilami brakowało mu już sił, jakby tak szedł od więków.

Zegar jął wybijać jakąś godzinę, ale nie mógł zrozumieć którą — bo słyszał tylko rozpierzchające się, długie i ostre dźwięki...

Posuwał się nieprzerwanie, a wciąż mu się zdawało, że do drzwi jeszcze ma tak daleko, jakby na krańce nieprzejranej pustyni. Był już przytem tak zgorączkowany, że zapominał, gdzie jest, a chwilami każdy szelest stawał mu się przerażającym hukiem, a szum wiatru jakby wyciem huraganów; nawet ciemności przejmowały go niepokojem. Rozglądał się nieprzytomnie. Zdawało mu się, że dokoła czają się jakieś złowrogie oczy, że jakieś groźne cienie idą na niego ze wszystkich stron, zapierają mu drogę i szepczą jakieś niezrozumiałe słowa...

DCN.



Polowanie.

Kogoby tu dziś zabić? — gdy człek przemyśliwa,
Jest to w życiu tem szarem godzina szczęśliwa.
Na ramię broń wziął, torbę, gwizdnął na wyżlicę
I idzie albo jedzie strzelać w okolicę.
Nad łąkami cudowny różowieje ranek.
Boże! Leć na wystrzał gromada cyranek.
Pi! Pi! Kilkoro sztuk się tego ptastwa tłucze.
Rozlega się radosne skowyczenie saeże.
Poeziwy piesek! W pysku ofiary przywleka...
Nie, niema przyjemniejszej rozrywki dla człeka!

Polowanie na kozły albo na jelenie
Też należy do uciech przyjemnych szalenie.
Co za rozkosz na stanowisku w krzakach zaledzi!
Czatujesz z biciem serea, na cynglu masz palec.
Wtem chrustnęła racią zgniecioną gałązka.
Jest... Pi! Pi! Trup. Krew cieknie, jak wstążeczka
[wązka.
Oczy zwierzęcia gasną i zachodzą bielmem.
Dumnyś z siebie, żeś takim Tellem jest Wilhelmem.
Pobożnie słuchasz granej na trąbce przegrywki...
Nie, niemasz przyjemniejszej na świecie rozrywki.

Albo dzik! Kto polował w życiu swem na dzika,
Ten wie, że to jest miła rzecz i niezbyt dzika.
Ponieważ dziki mają kłami groźne ryje,
Więc się za grube drzewo człek z kulturą kryje
I czeka... Gdy trzymają psy go już za uszy,
Pi! Pi! Trup. Cienkim sznarkiem jacha zeń się jaszty.
Psy skomlą i narzają języki w posoće...
Słowem jest to rozrywka przyjemna wysoce.
Kochasz ten bór, te łąki, te pola, te niwy
I czujesz, żeś jest królem Nemrodem z Niniwy.

Polować na mniejszego zwierza, na zająca,
Również jest to uciecha bardzo wzruszająca.
Ach, pardon! O zająca mówiąc, gdyś rzekł: zając,
Zamiast „kot“, popełniłeś grzech nie przymierzając.
Gdy mówi o zajączym nie „skoka“, leć łapie,
Łatwo na profanacyi: profana się złapie.
Kto nie wie, co w zająca zowie się turzyca,
Tego widać nie tknęła kultura płazyca.
I tego życie nie jest, dając słowo, wartem
Polowania z ogarem, wyżłem albo chartem.

O niewypowiedzianą szczęśliwość zahacza
Polowanie na wrony z udziałem pułacza.
Kopiesz dół, chróstem kryjesz go dla niepoznaki,
Sadzasz awiązanego taż pułacza na kij
I w zasadzie tej czekasz pod liści ochroną,
Aż ci zacznie zlatywać wrona się za wroną.
Siedzisz cicho. Do strzała gotowa twa fazya.
Gdy się wron nazlatuje wielka już profazyja, —
Pi! Pi! Jest kilka trupów — widzisz z pod przykrywki...
Nie, niema rozkoszniejszej dla człeka rozrywki.

Miło także jest, kiedy cietrzew gra na toku,
Między tem głupiem ptastwem narobić krwotoku.
Ledwie świt. Oczekuje harem kur wśród lasa.
Cietrzew poczyna wobec nich tan lowelasa:
Roztoczył skrzydła, ogon nastroszył puszyście,
Wobec kochanki ruchów wystawia korzyście, —
I gdy się tak w miłosnym szale zacierzewi, —
Pi! Pi! Posyłasz poręczą srota mu do trzewi.
Ogłupiałe rozkoszą stado nie ucieka...
Pi! Pi! — znova... Nie, niema miłszej gry dla człeka.

Strzelaniem do gołębi — *tir'em au pigeon'em*
Zabawiać się — jest także szczęściem wymarzonem,
Jeżeli oczywiście strzelasz bez fuszerek.
Przedstaw sobie zamkniętych z ptastwem klatek szereg.
Gołąb wyfrawa z jednej, w której nie wie po co
Zamknięto go. Skrzydełka w wietrze ma trzepocą.
Myśli, że jest już wolny, człowiekowi afa,
Nagle: Pi! Pi! Posyła śmierć mu twoja lufa.
Zdaje ci się, żeś prym wziął nad Wilhelmem Tellem:
Jemu jabłko, a tobie żywy cel jest celem.

Podobno nie polował, gdy żył w raju, Adam.
Lecz za tym czasem ni wy, ni ja nie przepadam.
Jako? Żyć i morderstwa nie mieć przywileja?
Nie, nie! Na to potrzeba człeka bez oleja.
Więc patrzeć, jak przy tobie taż młodzianka łania,
I nie czuć myśliwskiego ku niej powołania?
Albo znosić, by śmiały zwierz ładz się, płodzić, cielić,
I za to go nie więzić, nie tłuc, nie zastrzelić?
Nie. Być może to rajem, ale my, Nemrody,
Wolimy być zgodniejszy z prawami przyrody.

A te są: Kiedy widzisz na wolności ptaszę,
Za broń! Pi! Pi! Zabijaj i pakuj w jagdtaszę!
Rajem niech sobie żyją mazgaje i beksy.
Ausrotten! — niech wasze każą wam kodeksy.
Widząc, że gdzie samica dziko chowa dziecię,
Tropić ją, szezuc, zabijać i jeść ją będziecie!
Gdy pozwolić zwierzęciu żyć tak, jak chce który,
Wkrótceby nie zostało miejsca dla kultury.
Pamiętaj, iż jest ogień prometejskim darem...
Ognia! Pi! Pi! — niech będzie twoich dni sztandarem.

O Boże! Dziękuję Ci za wszystko wogóle,
Lecz zwłaszcza, żeś wynalazł proch, srota oraz kule;
Żeś odkrył z szmelcowanych dwóch łuf dabeltówki
I żeś mi na nabycie ich dość dał gotówki;
Że mogę sobie chodzić pod niebem niebieskiem
I polować samotnie, z naganką lub pieskiem;
Żeś mi dał pełne ptastwa moezary i łąki;
Le mogę strzelać sobie kaczki, tudzież bąki.
Zaiste, w życiu ludzkim chwila to szczęśliwa,
Gdy: kogoby tu zabić? w duszy przemyśliwa!

PAN SĘDZIA POLUJE.

— Ha! ha! tom się wylizał. No, mogę sobie powiedzieć, że już zdrow. Czuje, jak mi sił przybywa. Ale też leżał... ba! Dziś dwudziesty październik, a więc dwa miesiące prawie. Ha! ha! Kostusiu, niepotrzebnie się śpieszyłeś. Zapalenie płuc! wielka rzecz! to furda dla mnie... Zwyciężyły moje siły, zakonserwowane w kawalerskim życiu. Gdybym się był ożenił, a broń Boże, miał dzieci... kto wie, czybym już kopytami nie trzasnął... Bo to żona łeb suszy, bachory kłopoty, jak kliny, w mózg wbijają. Ale ja się uchroniłem od tego, no, i wyszło mi to na dobre. A czułem, dalibóg, jak się we mnie wazyło, czułem... to na tę, to na ową stronę, i w końcu chorobę dyabli wzięli. Prawda, że doktor pilnie mnie odwiedzał. Nie rozumiałem tylko, dlaczego ten osioł powiatowy uśmiecha się tak do mnie i ściska za rękę, aż stawy trzeszczą? „Jesteś ocalony, sędzio. Ocaliliśmy cię!” Daje mi do zrozumienia, że należy mu się wdzięczność. Egoista! wdzięczność?! Naprzód, obowiązkiem jego moralnym było wyleczyć mnie, a potem... dostał przecież honorarium, po trzy ruble za wizytę i moja furmanka. Jak będzie mi się jeszcze do wdzięczności mizdrzył, to, dalibóg, że mu głupstwo powiem. Da Bozia, za tydzień będę mógł sędziowski mój łańcuch włożyć. Co tam musiało się pracy nawalić przez ten czas! bo to te chamy, jak dzikie zwierzęta, pożeraliby się wzajemnie... No, wezmę się do tego energicznie i dopóki nie zepchnę zaległości, dwa razy na tydzień będę urządził posiedzenia. Jak człek sobie tak długo wypoczął, to mu też pilno do akt i kodeksu. Oh! i słonko się pokazało... śliczny być musi na świecie dzionek. Ostatnich dni było mokro trochę i pochmurno, br... Marcinowa! hej tam! otwórzcie-no okno... Co? już wy się nic nie bójcie! Czuję się zdrow, jak ryba.

I pan sędzia, wyżółkły i zasuszony stary kawaler, w grubym watawnym szlafroku, zbliżył się do okna; nagle jednak zachwiał się na nogach, i zaledwie oparł się całym ciałem o framugę uchroniło go od upadku.

Fala powietrza jasnego i czystego, niosąca silne zapachy jesiennych traw i kwiatów, uderzyła przez okno na pokój, w atmosferę zepsutą długiemi zamknięciami, gdzie czuć jeszcze wzywy gorączki i lekarstw. Pan sędzia, odrzuty tą falą ze świata, doznał zawrotu głowy. Trwał do chwil parę, po czem wrócił równowagą.

Tam, z za okna, uśmiechało się do niego życie, to życie, które ocalił tylko co, a które roztoczyło nagle tyle powabów i uroków, woni i blasków, że wychylił się za okno, zadziwiony i upojony, i otworzył usta, ażeby wciągnąć jak najwięcej tego powietrza świeżego, które rozszerzało mu piersi.

— Ho! ho! jak się to zmieniło na świecie! Anibym pomyślał. I to przez

dwa miesiące. Jak ładnie, jak ładnie! fiu, fiu! jak ładnie... No, i pomyśleć tu, że nigdybym już tego nie zobaczył, gdyby tak Kostusia... Hej! Marcinowa! moja najmiłsza, daj-no mi, koczek, krzeselczko; siadę sobie tu przy okieneczku. Jak ładnie, jak ładnie! co, Marcinowo? Nie, nie usiedzę. Marcinowo! mój garnitur szary, tylko prędko. No, no, nie gderać! wiem, co robię... Doktor już od tygodnia pozwolił mi wychodzić. Spodnie daj zimowe i ten szary paltot krótki, watawany. którego do polowania używam. Ha! ha! pyszna myśl... przejdę się trochę, to mi sił doda jeszcze i trzepnę gdzie zajęcika... będzie na niedzielę piecyste. Czuję, że go trzepnę; koty teraz są w polu, ani chybił. Ho! ho! ale mścienia! porządnie; surdut ledwo się dopinał, a teraz?... Nadgryzła mnie ta choroba trochę, nadgryzła, ale się zgryźć nie dał... Nie zawadzi wziąć szalik na szyję... dzień boski, to prawda, ale ostrożność to pierwszy obowiązek porządnego człowieka. Kochana odtylecowała! Jak się masz? Wisiałaś, biedaczko, na ścianie całe dwa miesiące, jak niemo-wa. He! he! siły już mam, dubeltówkę jak nic podniosę jedną ręką za koniec, o!... Jazda na plecy, moja mała! utłuczemy dziś kota, a może i co z pastwą się trafi. No, i jestem już za progiem... Boże drogi! jakże pięknym ten świat stworzyłeś! Jak miło żyć, a! jak miło!

Słońce świeciło na niebie pogodnym, błękitnym, niepobielonym najmniejszą chmurką. Złote jego promienie przeniknęły powietrze ciepłe i świeże, złożyły się na korze drzew owocowych, na skórkach dojrzewających jabłek, kwitły niby masa gęsto posiana złotych kwiatków na świeżo zoranych polach. Pan sędzia niepewnym jeszcze krokiem przeszedł przez ogródek, gdzie gęsto kwitły różnobarwne astry; za furtką chód jego stał się już pewniejszym; gdy zaś udał się miedzą, pomiędzy zawleczonemi skibami ozimego żyta a łanem kartofli, na którym usychać już zaczęły zielone łodygi, odzyskał chód dawny, pewny i śmiały. Robił duże kroki nogami wysokimi i chudymi, wodząc wokół wrokiem zadziwionym nieco, jak gdyby po raz pierwszy widział te łany ziemi, porysowanej w równoległe linie ostrzami bron, i ten lasek, niby płot żywy, ciągnący się nad polami, tam, niedaleko. Jak ładna ta zieleń, jeszcze trzymająca się w całej sile barwy! Jeżeli dokuczy ci słońce, to w cieniu rzęwym i chłodnym tej zieleni znajdziesz miły wypoczynek. Tyle piękna na tej ziemi! Jak miło żyć na świecie! jak miło, panie sędzio!..

— Ale co to tam się rusza pod lasem?... bo rusza się coś... Ehe! to krówki, dwie krówki pasą się na rżysku. Teraz już widać je wyraźnie. Jedna czarna z białą plamą na łbie; pewnie nazywają ją lysatą. A druga ca-

ła w centki niewyraźne. I chodzą sobie króweczki na słońcu, używając ciepłką i szczypiąc trawki. Mój Boże! jaki to miły obrazek te krówki pod lasem. I może jeszcze jedna krówka jest matką drugiej. Ehe! fujarka! dalibóg, fujarka. Pewnie pastuszek jaki, pachole jasnowłose, siedzi pod krzakiem i wygrywa to, co czuje, co mu podpowiadają ptaszki leśne i polne. Dadana, danada! takoby tego nie znał... O! dziewczę jakieś wtóruje mu głosem silnym i zdrowym, który zagłusza fujarkę smętną i cichą. Dadana, danada! to samo! Wszystko się cieszy z życia. O! i ja się cieszę. Dadana, danada! Kostusiu! Ehe! figę z makiem! Dadana, danada! Dalibóg! chce mi się śpiewać! Coś podobnego mi się jeszcze nie zdarzyło. Dadana, danada! Pst! panie sędzio... Nie wypada śpiewać w polu człowiekowi statecznemu i na tak poważnym stanowisku. Jeżeli już co, to chyba... gwizdaj sobie. Racya! Będę sobie gwizdać. Fiu! fiu! fiu!... Jak miło żyć! jak miło!

Szedł pan sędzia i gwizdał. Szedł na wysokich i cienkich nogach, z szyją, okręconą wełnianym szalikiem, z dubeltówką nabitą, przewieszoną przez plecy. A gdy wszedł na ścieżkę leśną, zaszumiały wierzchołki, jakby drzewa jedne drugim szeptem podawały wiadomość ważną i radosną:

— Pan sędzia zdrow! pan sędzia idzie!

Potem chwila ciszy, potem jedna zwrotka pieśni pastuszej, zalatująca aż tu, potem znowu nowe szepty drzew:

— Pan sędzia idzie! pan sędzia idzie!

Aż tu nagle dziub! dziub! dziub! ostrym dziobem w robaczywy pień sosny. To dzięcioł! Nie widać go za zielonemi igielkami, ale on dojrzał pana sędziego i wita:

— Dziub! dziub! dziub! jak się masz, panie sędzio!

— Zdrow jestem! i ot sobie z fuzijką na polowańko wyszedłem, aby zajęczyka trzepnąć, jak za najlepszych czasów. Kostusiu, co mi do pokoju zajrzała, przytka w nos dałem i uciekła.

Dalej przed oczyma pana sędziego przewinęła z gałęzi na gałąź, dążąc w górę, pokryta rudem futrem wiewiórka.

— Orzeszki, orzeszki! dobrodziejka zbiera. A śpiesz się, zwierzątko kochane, bo zima za pasem... To ostatnie dni takie ładne. Zimna się nie boisz, bo ci Pan Bóg dał ciepłe futerko, ale o łożadeczku to sama musisz myśleć, robasiu kochany. Zbierajże, by ci głód nie dokuczył, zbieraj.

Dalej przeciągnął gołąb leśny, grzewacz, kiwnąwszy w stronę pana sędziego skrzydłem na powitanie. Doszedł pan sędzia do jeziora małego, deszczami tylko zasilonego, z wodą brudną i czarną, nad którą prowadziły dwie zwalone kłody sosny, nakryte chróstem. Nad wodą gonity się muszki małe, niewidzialne w cieniu drzew, dostrzegalne na sekundę, niby atomy świetlne, gdy przebiegły przez promień słońca; uderzały skrzydełkami o wodę i wtedy na powierzchni tworzyły się krążki, niby pierścienie, rozszerzające się aż do zniknięcia. W wodzie od-

biwały się szczyty sosen, otaczających jezioro. Pan sędzia, przechodząc przez klody, zatrzymał się i przejrzał w tem lustrze, którego używały dotąd tylko igielki sosen. Oto on! on sam! Pan sędzia. Widzi kawalek lufy, wystający z za pleców (bo trzepnąć ma zajączyka), szalik wełniany, pod którym zwiesza się głowa z twarzą, wyraźnie zmierzowaną i wychudłą.

I w tej chwili wierzchołki sosen poruszyły się razem wszystkie wokoło twarzy, odbitej w jezioro, jak gdyby kiwały ze współzuciem głowami.

— Chory byłeś, panie sędzio?! chory byłeś?

Pan sędzia kiwnął głową.

— A chory byłem. Miałem zapalenie płuc... Leżałem dwa miesiące w łóżku, otoczony lekarstwami. Doglądała mnie pocziwa Marcinowa, której muszę coś za to w testamentcie zapisać, i ten pocziwy i kochany eskulap powiatowy. Bodaj mu nigdy nie zabrakło pacyentów. Oni to ocalili mnie, oni...

Skończył się wreszcie las niewielki i zaczęły się znowu pola, roztoczone szerokim i długim, kilkuwiorstowym płatem, którego brzegi niewyraźnie zlewały się z firmamentem, ciemniejącym w miarę zbliżania się do ziemi. Pola były porznite wązkami chłopskimi zagonami, ubrane zrzadka gruszkami, siedzącymi na miedzach. Tam w dali wpoprzek pól biegła linia gruba, zygzakowata—to wieś... Widać czeresnie w sadach chłopskich, widać dachy poczerniałe słomiane, nasadzone, niby czapka zimowa aż do oczu. Słońce, dobrze już na bok przechylone, oświetca bielone kominy, które zdaleka, jak srebrne, błyszczą. To cicha i pracowita wioska polska, gdzie ludźk w długie dni powszednie potem czoła obrabia te wązkie zagony, a w niedzielę zdąża do tego kościółka małego drewnianego, ukrytego w lipach. I żyją tu pocziwi ludziska i cieszą się z życia, ile razy po troskach przyjdą radości, a zaś po pracowitem lecie zasobna jesień, przepelniona weselami. Miałeś i ty chwile ciężkie, panie sędzio, oj, miałeś! Ale teraz zbierasz żniwo radości.

— Pocziwi kmiotkowie, pocziwi!—szepce pan sędzia i w duszy robi mu się tak rzewnie i miło, iż żałuje przez chwilę, że jest sędzią i tych pocziwych kmiotków na kozę nieraz skazywać musi.

Po chwili rzewność mija.. pan sędzia zasłania oczy, bo bielone wiejskie kominy błyszczą bardzo silnie—i myśli powrócić do domu.

— Jutro sobie znowu zrobię podobną przechadzkę i pojutrze także.

I na tę myśl tyle radości młodej, dziecięcej, wstępuje w pana sędziego, że długa jego figura kurczy się nieco, jedna noga podnosi się wyżej, niż zwykle, a druga w kolanie zgina.. Co to? Pan sędzia chce podskoczyć, o! podskoczy. Jeszcze sekunda, a podskoczy. Ale oto z lasu wychodzi dziewczyna jakaś. Pan sędzia się prostuje i sztywno stawia, jak zwykle, długie swoje nogi. Podskakiwać? cóż znowu! Taki człowiek, jak pan sędzia, nie podskakuje.

Słońce już czerwienieje. Pan sędzia wraca do domu. Zawrócił swoje kroki i idzie do lasu na długich i cienkich nogach, z wełnianym szalikiem, okręconym wokoło szyi, z dubeltówką nabitą, przewieszoną przez plecy. Aż tu po zagonach biegnie zając, kica sobie powoli: kic! kic! kic! wprost na pana sędziego. Uszy położył na sobie i podrzuca całe ciało tylnymi skokami. Ten może sobie podskoczyć bez ujmę dla swojego stanowiska. Aż tu nagle stanął słupka, uszy w górę postawił i ślepki uparł w pana sędziego...

— Jaki chudy pan sędzia! jaki chudy! o jej!

— A chudy, mój zajączku, chudy, zwierzątko moje. Miałem zapalenie płuc, Kostusia już mnie za nogę trzymała, oj, trzymała szelma! Ale ją kopnął dobrze i poszła. Nieprędko chyba wróci, bo czuję, jakby mi nie duszę, ale dwadzieścia już przeżytych lat odjęła. Ucznia na wakacjach bym przegonił.

— To dobrze—ruszył wąsami zajączyk—i kic, kic dalej, aż znikł w krzakach.

Słońce świeci już, jak okrągła czerwona plama, tuż przy ziemi; pan sędzia dochodzi do lasu i spotyka dziewczynę z pękiem kwiatów jesiennych.

— A co to?—pyta—a gdzieżeś je zbierała?

— A na łące i w polu.

— Ładne,—a pachną? pachną, hm! hm! pachną prześlicznie. Daj-no mi je, dziewczeczko. Masz tu złot... masz czterdziestówkę. Nie dziękuj... nie potrzeba.

I powracał pan sędzia do domu na długich i cienkich nogach, z wełnianym szalikiem wokoło szyi, z dubeltówką nabitą, przewieszoną przez plecy.

Powracał z polowania przez las, ciemniejący w zmroku, z bukietem polnych jesiennych kwiatów w ręku, których wonią napawał się co chwila.

Robert Hichens.

Przekład z angielskiego.

OGRÓD ALLAHA.

43

XIX.

Arabskie przysłowie głosi: „W pustyni zapomina się o wszystkim; nikt już o niczem nie pamięta“.

Dla Domini zdawało się to chwilami prawdą najprawdziwszą i najpiękniejszym orzeczeniem Wschodu. Trzy tygodnie upłynęło dopiero od ich pierwszego postoju w Arbie, i już życie jej w Beni-Morze zatarało się w pamięci, jak sen odległej przeszłości. Powierzywszy się pustkowiom rozległym, podróżując bez celu stałego od oazy do oazy poprzez puste obszary, w wiecznym blasku słonecznym skąpane, obozując często pośrodku piasków u której ze studzien, wydrążonych dla nomadów przez inżynierów francuskich, bez przerwy umacniani, bez przerwy pieszczeni powiewami, które były łagodne i rzeźkie, jakby ze złączenia jedwabiu i śniegu, żyli prawdziwie, jak we śnie pustynnym—i sen tylko mieli za sobą. Pędzili żywot prawdziwie koczowniczy—z namiotem ruchomym miast domu, z piaskiem złotym miast gruntu i ogniska, z wolnością, która była im Bogiem.

Zatrzymali się na spoczynek południowy w miejscowości, która się zwała Sidi-Hamdan, i popołudniu mieli jechać dalej do Bordj, zwanej Moga'em, gdzie zamierzali pozostać dwa lub trzy dni, jako że Batucz zapewniał, że miejsce to dobre dla postoju i w pobliżu od zbiorowiska gazeli. Namioty poje-

chały już naprzód, i Domini wraz z Androwskim leżeli na kobiercu, rozpostartym na piasku, w cieniu szarego muru domu podróżniczego, w pobliżu studni. Z tyłu konie ich były uwiązane do żelaznych pierścieni w murze. Batucz i Ali byli na podwórzu domu, gwarząc ze strażnikiem arabskim, który tu mieszkał, głosów ich atoli nie było słyhać z za muru, i cisza zupełna gościła, owa natężona i zarazem lekka cisza południa w pustyni, gdy słońce jest u zenitu, gdy nomada śpi pod nisko rozbitym namiotem, i ogrodnicy nawet w oazach przestają udawać, że pracują wśród drzew palmowych.

Nie było nigdzie śladu ludzkiego. Nie widać było wielbłądów. Nie słyhać było szczekania psów. Południe trzymało świat w swem złotem ujęciu.

— Borys!—rzekła Domini, przerywając długą ciszę.

— Co, Domini?

Obrócił się ku niej na kobiercu, wyciągając leniwie swe długie, smagłe ciało, jak gdyby w najwyższym zadowoleniu fizycznym.

— Czy znasz to powiedzenie arabskie o zupełnem zapomnieniu wszystkiego w pustyni?

— Tak jest, Domini, znam je.

— Jak długo będziemy jeszcze pozostawali w tym świecie zapomnienia?

Uniósł się szybko na łokciu i utkwiał w nią oczy.

— Jak długo?

— Tak jest.

— Czyż... czy chciałabyś porzucić je? Jesteś niem zmęczona?

W głosie jego była nuta ostrego niepokoju.

— Nie odpowiadam na takie zapytania—rzekła, uśmiechając się do niego.

— Dlaczego tedy starasz się mnie zatruwać?

Złożyła swą rękę w jego rękę.

— Jakżeś ty opalony! — rzekła. — Wyglądasz prawdziwie, jak arab z Południa.

— Pozwól, niech się jeszcze bardziej opalę. Tu zdrowie.

— I pokój, pokój doskonały. Nic nie rzekł. Patrzył teraz w dół na piasek.

Złożyła wargi na jego ciepłej ręce brązowej.

— Tu jest wszystko, czego pragnę—dodała.

— Tedy zostaniemy tu.

— Tak! ale przecie kiedyś będziemy musieli powrócić?

— Dlaczego?

— Czyż może co trwać wiecznie w życiu?.. nawet nasz miesiąc miodowy?

— Przypuść, iż wybieramy, żeby tak było.

— Czyż można rzecz taką wybierać? Czy można całe życie być szczęśliwym, nie pełniąc obowiązku? Chwilami zapytuję siebie. Tak kocham to życie wędrownicze, tak jestem w niem szczęśliwą, iż myślę chwilami, że nie może ono tak trwać dłużej.

Począł szybko przesiewać piasek przez swe palce.

— Obowiązek?—rzekł cicho.

— Tak jest. Czyż nie winniśmy pełnić czego—poza sprawą naszego osobistego szczęścia?

— Co przez to rozumiesz, Domini?

— Czy ja wiem? Ty mnie to powiedz.

W głosie jej był dźwięk nagłący, jak gdyby pragnęła, a nawet domagała się czegoś od niego.

— Wszak wiesz—rzekł,— że ja ciężko pracowałam dotychczas w życiu, ciężko, jak wyrobnik.

— Tak jest, wiem o tem—rzekła. — Zanim się pobraliśmy, dnia tego, kiedy siedzieliśmy w ogrodzie, opowiadałeś mi swoje życie i ja ci opowiadałam swoje. Jak różnemi były one!

— Tak jest—powiedział.

Zapalił papierosa i patrzył na dymek, kłębiący się w złocie blasków słonecznej atmosfery.

— Moje w środowisku świata i twoje... tak daleko od niego. Często widzę w myśli tę małą miejscinę, El Kreir, ogród, matkę twoją, brata twego bliźniaczego, Konstan-

togo, jednookiego araba służącego... jak to on się nazywał?

— El Maki.

— Tak jest, El-Maki, który uczył ciebie grać w korę, śpiewać pieśni arabskie i jeść ku-ku palcami. Niemal że widzę księdza André, który cię uczył klasyków i który ci mówił o filozofii. On także umarł, jak twoja matka, nieprawdą?

— Nie wiem zgoła, czy umarł ksiądz André, czy żyje. Straciłem go z oczu—odrzekł Androwski.

Wciąż patrzył uporczywie na dymek, kłębiący się w złotem powietrzu.

— Czy sądzisz, że ja nie pamiętam tego, iż ty pracowałeś ciężko? — rzekła po chwili.—Mówiłeś mi, że sam zawsze uprawiałeś ziemię, nawet gdy byłeś jeszcze chłopcem, że kierowałeś robotnikami hiszpańskimi w winnicy, że wreszcie... zasłużyłeś na długie wakacje. Lecz czyż trud ma być już na zawsze rzucony?

— Masz tedy rację. Dobrze. Weźmy oazę. Uprawiajmy ogrody, jak francuzi w Meskutynie.

— I pobudujmy sobie siedzibę afrykańską, białą, z płaskim dachem.

— I sprzedawajmy daktyle. Damy zajęcie arabom. Wybierzemy co najbiedniejszych. Umoralnimy ich życie. I wtedy... jeżeli będziemy co komu zawdzięczali, to tylko im, tylko pustyni. Spłaćmy naszą powinność pustyni i mieszkajmy w pustyni.

— Byłoby to życie wymarzone—rzekła z oczyma błyszczącymi, patrząc w jego oczy.

— I życie możebne. Urządźmy je tedy. Ja nie zniosę tego, byśmy porzucili pustynię. Dokąd my pójdziemy?

— Dokąd my pójdziemy?—powtórzyła.

Wciąż patrzyła na niego, lecz teraz wyraz jej oczu odmienił się całkiem. Stały się one poważne i badały go seryo, z rodzajem głębokiego wnikanía.

— Dlaczego patrzysz tak na mnie, Domini?—zapytał z nagłym drgnieniem czegoś, co było jak zakłopotanie.

— Ja? Pytałam się, co byś wolał robić, jakie inne życie przyjąłoby ci do usposobienia.

— I co? — zapytał szybko. — I co?

— To dziwne. Nie mogę ciebie z niczem połączyć, prócz z pustynią; nie mogę cię widzieć nigdzie, prócz w pustyni. Nie mogę cię nawet wyobrazić pośród winnic tuniskich.

Patrzyła wciąż na niego z tem

samem głębokiem i całkiem nieświadomem wnikaním.

— Zaś co do Londynu, Paryża...

Naraz wybuchnęła krótkim śmiechem, i powaga jej przysła.

— Mniemam, że nienawidzisz tych miast—rzekła.—A one... one nie pokochają cię, bowiem nie będą cię rozumiały.

— Kupmy sobie oazę—rzekł porywczco.—Pobudujmy sobie dom afrykański, sprzedawajmy daktyle i zostaniemy w pustyni. Słyszę głos Batucza. Czas już snadź jechać do Mogaru. Batucz! Batucz!

Batucz wyszedł z podwórza domu, obcierając resztki ku-ku ze swych lubieżnych warg.

— Odwiąż konie—rzekł Androwski.

— Ale, proszę pana, za gorąco jeszcze na jazdę. O, proszę patrzeć! nikt się jeszcze nie rusza. Cała osada śpi jeszcze.

Zatoczył łuk olbrzymiemi rękoma, z paznokciami, ubarwionemi henną, ku odległemu grodowi, odlanemu jakby z jednej sztuki brązu.

— Odwiąż konie. W pobliżu Mogaru są gazele. Czyż nie mówią mi?

— Tak jest, proszę pana. Ale...

— Wyjedźmy stąd wcześniej i pod zachód słońca pójdziemy na nie. Nuże, Domini!

Odjechali w połącym żarze południa ku południo-zachodowi poprzez obszary szarego piasku. Za nimi w niewielkiej odległości ciągnęli: Batucz i Ali.

Około czwartej po południu przybyli na teren Mogaru.

Kiedy wjechali wolno, bowiem konie ich były zmęczone, od znoju spienione po długim klusowaniu poprzez piaski, i Domini, i Androwskiego uderzyła niezwykłość tego miejsca postoju, niepodobnego zgoła do żadnego, jakie dotychczas widzieli. Grunt wznosił się tu łagodnie, lecz stale, od dłuższego już czasu, zanim jeszcze ujrzeni w odległości rozbite namioty z czarnemi kształtami wielbłądów i mułów. Byli tu poza piaskami, na twardym jałowym gruncie, pokrytym drobnymi kamieniami, zaścieniającymi ziemię. Poza namiotami nie było nic widać prócz nieba, które teraz było pokryte drobnymi, szaremi na skrajach chmurami, smutnemi i jesiennymi, i baszty samotnej, pobudowanej z kamienia, która wyrastała z obszaru, ciągnąc się prawie na dwieście jardów od namiotów ku wschodowi. Chociaż mogli widzieć tylko tak niewiele, to jednak doznali przemocnego wrażenia, iż są tu na skraju jakiejś wizyi przestronnej, jakiegoś olbrzymiego zjawu

przyrody, który miał dać im nowe i zdumiewające poznanie pustyni. Być może, widok tej baszty odległej, sterczącej wśród chmurszarych, wzbudził w nich to czucie prawie niespokojne oczekiwania.

— To całkiem, jaz wieża strażnicza,— rzekła Domini, wskazując batem. — Ale jak tu można żyć, w takim miejscu, zdala od oazy?

— I nic tu stąd nie widać do doła — rzekł Androwski. — To jest najniższy horyzont, jaki widzieliśmy, odkąd jesteśmy w pustyni.

— Tak jest, lecz...

Spojrzała na niego, gdy puścił konie lekkiego kłusa. A potem dodała:

— Ty także czujesz, żeśmy tu wjechali w coś wstrząsającego... Czyż nieprawda?

Koń jej zarżał przenikliwie. Domini poklepała go po szyi spienionej.

Kopyta ich koni oddawały twardym dźwiękiem na gruncie kamienistym.

— Niegościnne to miejsce — rzekł Androwski.

Domini spojrzała na niego nie spodzianie.

— Nie przypominam sobie, byś miał dotychczas odrzęć do jakiego miejsca w postoju — rzekła. — Co to znaczy, Borysie?

Uśmiechnął się ku niej, lecz prawie bezpośrednio za tem twarz jego omroczyła się cieniem, który zdał się odpowiadać zmroczeniu nieba. I znowu utkwiał wzrok w basztę.

— Lubię tylko dalekie horyzonty — odrzekł. — A tu niemasz dziś słońca.

— Sądzę, że nawet w pustyni nie będziemy go mieli zawsze — rzekła, a w głosie jej też było tkwienie smętku, jakby go wraz przejęła od niego.

Po chwili dodała:

— Mam zupełne wrażenie, jak gdybym była na wierzchołku skały i miała patrzeć na morze dokoła.

Z chwilą, jak dopowiadała te słowa, wjechali kłusem w środowisko obozu ich służby i osadzili konie na skraju spadzistym, który był prawie przepastnym. A potem siedzieli w siodłach, patrzący.

Od tygodni żyli pośrodku rozłogu i przyzwyczaili się do widoku rozległych szlaków dokoła, ginących w dali błękitnej; ten atoli widok z Mogarą zapierał im dech w piersiach i wzbudzał w nich tętno.

Był on przeolbrzymi. W tym zjawie niezmiernym było nawet coś nienaturalnego, jak gdyby to było tylko ułudą i mogło istnieć tylko w ich widzeniu. Domini mia-

ła wrażenie, że żadne oczy ludzkie nie mogły istotnie widzieć takich nieskończonych szlaków krainy i wody, jak te, które — zdało jej się, że widzi w tej chwili. Bowiem tu, pośrodku pustyni, nie było zgoła wody. Nieskończony wylew morza szedł na spotkanie nieskończonych równin śniegowych. Lub tylko zdawało się tak obojgu. I morze to było szare i spokojne, jak morze zimowe, tchnące żalością w obszarze krainy zimowej. Z morza tego tu i owdzie występowały wysepki, których niskie skały były koloru głębokiej czerwieni, jak czerwieni piaskowców, a który obudzał tragiczność, — wysepki, które wyglądały samotnie, jak gdyby nigdy nie było na nich życia i nie mogło być. Poza śnieżnymi równinami ciągnęły się zwaly piaskowe koloru najbledszych pierwiosnków, zwaly piaskowe niezliczone, dziesiątki tysięcy zwalów, wznoszących się i opadających, aż póki nie zginęły w szarej dali milczącego świata. Na pierwszym planie, u nóg końskich, od wierzchołka wzgórza szedł szlak szeroki, nikle znaczący się w piasku głębokim i obrzeżony olbrzymiemi zaspami, ukształtowanemi, przez działanie wiatru, w podobieństwie zabawne dziwotworów, lewiatanów, bestyi z dziwaczniemi grzbietami, sfinksów, wielorybów.

Z lewej baszta osamotniona panowała nad tą wizją straszną o puszczenia i zdała się strzedz jej bez przerwy, czatując, swemi małemi strzelniczymi oczyma.

— Weszliśmy tu w zimę — rzekła mruklwie Domini.

Rzuciła okiem na biel kości wielbłądzich, rozsypanych tu sucie na piasku, potem na szarość białą nieba, na bladeść żółtą zwalów piaszczystych.

— Jak cudnie! jak strasznie! — rzekła. D.C.N.

Wiadomości literackie.

Z literatury francuskiej.

× *Juliusz Bertaut*. „*La littérature féminine d'aujourd'hui*“ („*Dzisiejsza literatura kobieca*“). Nigdy kobiety nie piisały tyle i — trzeba to przyznać — z takim powodzeniem, co dzisiaj. Książka p. Bertaut, krytyka bystrego, znającego swój przedmiot, przychodzi zatem w porę, dając ogólny pogląd na dorobek, jaki kobiety wniosły do literatury współczesnej. Wspólnosc temperamentu jest, zdaniem autora książki, jedną z charakterystycznych cech pisarek. „Bez względu na to, czy piszą romanse psychologiczne, obyczajowe czy historyczne, wiersze romantyczne czy dekadencje, te literatki są przedewszystkiem kobietami. Dziesięciu literatów ma dziesięć temperamentów różnych. Natomiast niema indywidualności różniących się tak mało, jak między literatkami“. I słuszność tego mniemania swojego wy-

kazuje p. Bertaut bardzo umiejętnie, mówiąc nam, jak literatki pojmują kobietę, jak widzą męzczyznę, przyrodę, dziecko, a zwłaszcza miłość.

Z literatury włoskiej.

× *Pietro Giacosa*. „*Il gran cimento*“ („*Wielka próba*“). Są to wzruszające dzieje dwojga zakochanych, z których każde spędza najlepsze lata przy boku innego towarzysza, poczem spotykają się i łączą. Ale nie znajdują już w sobie wzajemnie tego, czego się niegdys spodziewali — przychodzi rozczarowanie zamiast urzeczywistnienia ideału, i męzczyzna, pod troskliwą opieką zawsze jeszcze, mimo doznanego zawodu, gorąco ukochanej kobiety, dogorywa, ulegając mękom moralnym i fizycznym. Książka odznacza się zwykłemi zaletami Giacosa — wielką prostotą i uczuciem.

Z literatury duńskiej.

× *Jacob Knudsen*. „*Varulven*“ („*Wilkołak*“). Zgubny, złowrogi wpływ radykalnych zapatrywań życiowych na autorną ludność wiejską usiłuje wykażać na nowi powieści niniejszej. Dużo w niej głębokiej obserwacji i subtelnego odczucia duszy ludzkiej; szkoda tylko, że postać demonicznego uwodziciela jest skarykaturowana.

Z literatury szwajcarskiej.

× *Wiktor Hardung*. „*Die Brokatstadt*“ („*Miasto brokateli*“). Tytuł książki zgola nieodpowiedni, albowiem treść nie ma prawie nic wspólnego z układem społecznym w mieście, gdzie rozgrywiają się dzieje Ulryka Wegella i pięknej Pikardy — obojgiem jest zupełnie, czy wyrabiają tam brokatelę, koronki, czy też wstążki jedwabne. Rozwój wewnętrzny i zewnętrzny Wegella, który w „mieście brokateli“ żyje, uprawiając zawód dziennikarski, stanowi treść książki. Wegell stoi między dwoma światami: z jednej strony miasto ze swoim patrycyatem, czerpiącym bogactwa z przemysłu, małomieszczańskim w pojęciach i kulturze; z drugiej — ruchliwy świat aktorów wędrownych, trupy, która, zebrana ze wszystkich stron, zjeżdża na zimę do miasta, a potem znów rozbiega się na cztery wiatry. Ulryk nawiązał z córką jednego z patrycyuszów miejscowych serdeczny stosunek, któremu brak jeszcze tylko sankcji zewnętrznej; ale przybyła z trupą młoda aktorka podbija jego zmysły. I powtarza się stary temat bohatera między dwiema kobietami. Pisarz szwajcarski umiał go wszakże przeprowadzić subtelnie, indywidualnie; los aktorów prowincjonalnych przedstawiony jest w świetle prawdziwym, budzącem współczucie.

TREŚĆ NUMERU 43-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski*.
Marzyciel. *Władysław St. Reymont*.
Polowanie. *Jan Lemański*.
Pan sędzia poluje. *W. Kosiakiewicz*.
Ogród Allaha. *Robert Hichens*.
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie; 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerolimaska, № 49.

Redaktor i wydawca „Romansu i Powieści“:
JÓZEF JANKOWSKI.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni
Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, № 8

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie